

GŁOS UCZNIOWSKI

PISMO MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ

BIAŁYSTOK 1931 R.

Rok X. Wrzesień-Październik. Nr. 4.


 Ś. P.
Min. dr. Sławomir Czerwiński

Przedwczesna i niespodziewana śmierć ś. p. Ministra Sławomira Czerwińskiego przerwała pracę nad przebudową szkolnictwa polskiego, okrywając żalobą szkołę polską.

Dr. Sławomir Czerwiński, Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, urodził się 24 października 1885 r. w Sompólnie, wojew. łódzkim. Początkowe nauki pobiera w Kaliszu, gdzie bierze udział w strajku szkolnym 1905 r., potem kończy szkołę średnią w Krakowie i wstępuje na wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Jako student, bierze żywy udział w życiu politycznym młodzieży, pracując w tajnych organizacjach, mających na celu oswobodzenie Ojczyzny z pod przemocy wroga i niesienie oświaty tam, gdzie jej brakło.

Po ukończeniu studiów, jest nauczycielem szkół prywatnych i społecznych w b. Królestwie P., potem kierownikiem gimnazjum w Ostrowcu.

W roku 1919 powołany został na wizytatora seminarjów nauczycielskich; 31 sierpnia 1928 r. obejmuje w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego stanowisko podsekretarza stanu, by 14 kwietnia 1929 r. stanąć do pracy na polu oświatowym w charakterze ministra.

Przechodząc wszystkie stopnie szkolnictwa polskiego, poznał gruntownie jego ustrój, a zebraną wiedzę fachową oraz swoje doświadczenie zużytkował na najwyższym stanowisku szkolnym ministra. Rozumiał dokładnie potrzeby szkoły i całą swoją duszę z właściwą sobie trzeźwością i stanowczością wkładał w jej reorganizację.

Przedwczesna śmierć zabrała nam szermierza o szkołę polską, a późniejszego jej twórcę, przecinając pasmo życia Jego 4 sierpnia b. r.

Cześć Jego pamięci!

W dniu 4 września* b. r. fara białostocka była przepełniona.

Mnogie szeregi młodzieży zebrały się u stóp kirem odkrytego katafalku, by oddać hołd i cześć zasługom ś. p. Ministra Sławomira Czerwińskiego.

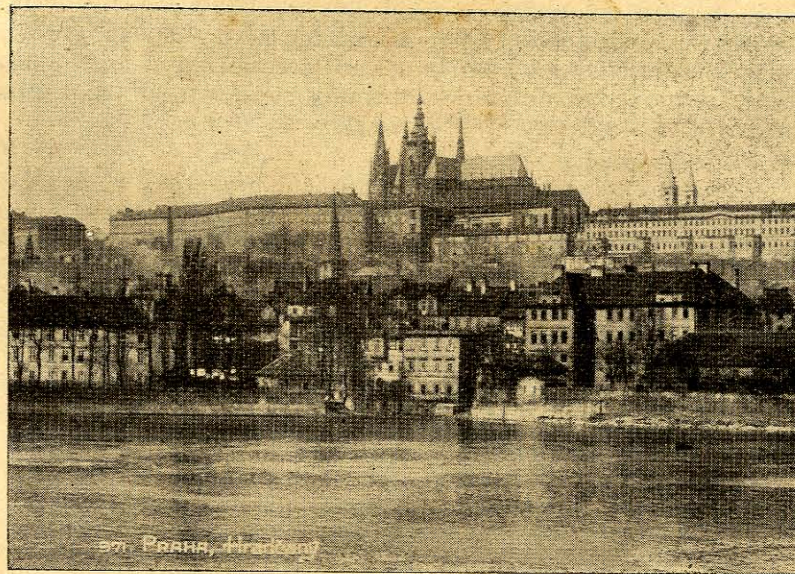
Do uświetnienia nabożeństwa żalobnego przyczynił się

zespół muzyczny gimn. im. J. Piłsudskiego pod batutą p. prof. Sobierajskiego, wykonywając: „Preludjum deszczowe” i „Marsz żalobny” Chopina, „Modlitwę Lukrecji” Różyckiego oraz „Marsz żalobny” Beethovena.

Chór gimnazjum Anny z Sapienhów Jabłonowskiej odśpiewał pieśni: „Sędzia wieczny” i „W mogile ciemnej”.

Okryte szatą smutku i powagi chwili twarze zebranych były świadectwem hołdu dla zasług przedwczesnie zmarłego Ministra Oświaty.

Oset.



Ogólny widok Pragi czeskiej.

Akcja letnia Piątki Białostockiej.

Zlot Skautów Słowiańskich w Pradze Czeskiej.

„Podtrzymuj przyjaźń tak, żebyśmy wszyscy byli przyjaciółmi na całym świecie, a wtedy nastąpi szczęście, póki i dobra wola między ludźmi — oto jest zadanie, jakie stoi przed skautem”.

(R. Baden-Powell).

W liczbie zaledwie pięciu przedstawicieli Białegostoku drużyna nasza była reprezentowana na Zlocie Skautów

Słowiańskich w Pradze, a mianowicie w osobach dh. drużynowego Mieczysława Piotrowskiego i zastępowego dh. Borysa Fajansa.

II Męską Drużynę reprezentował dh. Witold Czechowicz

Wszystkie reprezentacje zjechały do Warszawy, by stąd wyruszyć na Złot. Skoro jedziemy zagranicę, jako przedstawiciele Młodej Polski, musimy wykazać swoją sprawność i tężyznę zarówno fizyczną, jak duchową, i dlatego odbywamy najpierw obóz przygotowawczy w Janowie po Katowicach.

„Rozbijamy się” tu, pomimo niesprzyjających warunków terenowych, obozem i staramy się postawić go jaknajwyżej pod względem technicznym i estetycznym.

Życie mamy ciężkie.

Po przespaniu się na wilgotnej, ba! prawie bagnistej ziemi, okrytej sieńnikiem lub wprost słomą, nie mamy gdzie się umyć, to też nosimy wodę w kotłach, by potem, polewając jeden drugiemu menażką, jako tako spędzić z twarzy wraz ze snem resztki trawy i słomy.

Potem śniadanie, praca w obozie, obiad, znowu praca i wreszcie kolacja, po której zasiadamy przy ognisku, i tu dopiero zauważyć można, że „gwiżdżemy” na wszystkie niewygody i trudności, czego dowodem jest niefrasobliwa piosenka drużynowego Piątki, zaczynająca się zwrotką:

„Pod Katowicami

Namiot przy namiocie,

Każdy z nich zaś stoi

Po wierzchołek w błocie. Oj dana”.

W czasie wolnym zwiedzamy indywidualnie lub małymi grupkami Katowice, najczęściej przesiadując w cukierniach lub restauracjach, bo obiady obozowe, oh! — pożal się Boże!

Któregoś dnia (daty nie pamiętam), korzystając z uprzejmości inż. Szymaszka zwiedzamy kopalnię węgla „Gisze”, jedną z największych na Śląsku.

Zatrudnia ona 4500 robotników, produkując dziennie 6000 tonn węgla najrozmaitszego gatunku.

Ogromne wrażenie robią kolosalne maszyny, którym nie obce są tajemnice „krajny czarnych djamentów”.

Nadzwyczajny spokój wokoło szybów i systematycznie—regularny ruch kół maszyn wyciągowych jest jakgdyby wizerunkiem typu nowego człowieka o stalowych nerwach i zdecydowanych czynach—„człowieka pracy”.

Dziękujemy uprzejmie panu inżynierowi i kolejką podmiejską wracamy do obozu.

Po pięciodniowym pobycie pod Katowicami we czwartek wieczorem 25 czerwca wyruszamy do stolicy nadwiel-tawskiej. Witani okrzykami i salutowaniem skautów czeskich na pomniejszych stacyjkach, wjeżdżamy wreszcie na jeden z dworców „Złatej Prahy”.

Dwa pierwsze dni szykujemy się do godnego przyjęcia gości. Powtarza się ta sama historia, co pod Katowicami. Rozbicie obozu w jednym z parków, dekoracje, któraś z drużyn buduje przepiękny ołtarz, śpiewacy i tancerze w strojach narodowych szykują się do występu, mającego na celu propagandę polskości, a wszystko idzie iście amerykańskim tempem.

W niedzielę 28 czerwca, po odprawionej poprzednio mszy porannej, ruszamy na praski Hrad (Zamek) by oddać hołd Prezydentowi T. G. Masarykowi.

Pochód był naprawdę czemś niecodziennem.

Kilka tysięcy skautów, w tem 1500 Polaków, owianych uczuciem braterskości, szło ulicami przepięknej Pragi, powiewając czapkami, chusteczkami, rękami, wreszcie czem kto miał z okrzykiem na ustach: „Niech żyje Praga! Niech żyje Złot Słowiański! Niech żyją bracia Czescy”!

Dookoła otaczają nas tłumy Czechów, wiwatujących na cześć „braci Polaków”, a nierzadko słychać okrzyk: „Niech żyje Polska”! Chwila była tak wzruszająca, że najbardziej eleganckie damy przyciskały chusteczki do oczu. Sam czułem, że mnie ścisną coś za gardło; nie mogąc wydobyć głosu, rzucałem tylko przyjazne spojrzenia w stronę Czechów poprzez zasnutę łzami oczy i machałem czapką w jakiejś szaleńczej radości. Rozumiałem tylko jedno,—że dzieje się coś wielkiego.

Wiele tysięcy skautów zleciało się w Pradze, każdy ze swoim płomykiem w sercu i roznieciło Ognisko Miłości, którego zadaniem: rozproszyc mrok dokoła, rozgrzać oziębłe serca, oczyścić je!..

Po przeglądzie Pana Ministra Dr. W. Grzybowskiego i Dh. Przewodniczącego Dr. M. Grażyńskiego na ul. Mirove naměstí, kierujemy się, wciąż krzycząc i śpiewając, przez piękny most Karola i Stare Miasto ku poważnemu Hradczynowi.

Po długim oczekiwaniu oczom naszym ukazuje się na balkonie Prezydent w otoczeniu starszyny skautowej.

Następuje szerego serdecznych przemówień i—powrót do obozu.

Po obiedzie pokazy regionalne.

Zjawiają się w strojach ludowych kurpianki, górale, krakowiacy, poleszycy, ślązacy, napastowani przez fotografów, operatorów filmowych, którzy, mówiąc nawiasem, najchętniej przebywają w obozie polskim.

Zapada zmrok. Wszystko śpieszy do ogniska, gdzie właśnie odbęda się pokazy.

Nasz pokaz wypadł doskonale. Odtąńczono krakowia-ka, zbójnickiego, mazura, śląskiego trojaka i wreszcie oberka. Przepiękne, barwne stroje, brawura tancerzy i tancerek wywołała burze zasłużonych oklasków.

Nastrój jest prawdziwie braterski, wszyscy się cieszą, wszędzie króluje „czencz” — zamiana odznak lub drobnych przedmiotów. Mielśmy na ten temat ciekawe wypadki. Podchodzi jeden z naszych do drużny czeskiej i zapytuje:

„Na zdar sestra! czencz laska”? *)

Drużna płoni się, wstydliwie spuszcza oczy, potem rozgląda się z determinacją dookoła, robi na nas wrażenie, że coś chce powiedzieć, lecz nie wie, jak to ująć. Zdziwienie jej zachowaniem się wołamy takiego, co to „po czesku, jak po maśle”, i ten nam dopiero tłumaczy, że laska po czesku znaczy miłość, natomiast laska w naszym znaczeniu nazywa się hal. Towarzystwo wybucha śmiechem.

Dalsze dni spędzamy bądź to w obozie, gdzie przyjmujemy gości, bądź to poświęcamy zwiedzaniu Pragi.

Oglądamy zamek hradechański, śliczną katedrę św. Wita, Stare Miasto, Muzeum Narodowe, mieszczące w sobie osobliwe okazy kryształów soli bochnieńskiej i stroje polskie, zwiedzamy wieżę obserwacyjną, kościół Tyński, ratusz, oglądamy sławny zegar z ruchomymi postaciami, wskazujący dni, godziny, miesiące i lata, zwiedzamy parki, oglądamy pomniki, mosty, a wieczorem kina. (Nie mówcie tylko Państwo o tem ostatniemu mojemu Dyrektorowi).

Patrzymy szeroko otwartymi oczyma na wszystko, co nas otacza, by wywieść z „wyprawy na Czechy” jak największą korzyść.

A patrzeć jest na co. Są tu Jugosłowianie, Bułgarzy, Francuzi, Węgrzy, Anglicy, Rumuni, Rosjanie (emiigranci), Łotysze, Litwini, Irlandki. Każdy coś umie, coś wie, każdy przywiózł ze sobą coś swojskiego.

W piątek 3 lipca wyruszamy do Pardubic na Wystawę Sportową. Przebywamy tu jeden dzień, spędzony na indy-

*) Czołem drużno! Zamienisz się na laskę?

widualnem zwiedzaniu wystawy i ruszamy zpowrotem do kraju. Po drodze zatrzymujemy się w Skoczowie, skąd maszerujemy na Bucze, na wyświęcenie pierwszej Harcerskiej Szkoły Instr., a potem dwa dni odpoczywamy we wsi Górki Małe, spędzając czas nad rzeką lub na łażeniu po górach.

W drodze powrotnej ze Skoczowa zatrzymujemy się na trzy dni w Krakowie. Zwiedzamy Kopiec Kościuszki, patrona naszej drużyny i inne osobliwości tego „miasta muzeum”.

Po trzytygodniowej włóczędze po szerokim świecie 12 lipca wróciliśmy do domów.

Celem Złotu było zadzierżgnięcie węzła przyjaźni w wielkiej rodzinie słowiańskiej, w której my, Polacy, jesteśmy najbliżsi, bliższe poznanie się, podzielenie się doświadczeniami oraz nawiązanie i utwalenie serdecznych stosunków. Trzeba zaznaczyć, że półtoratysięczna reprezentacja nasza wywiązała się dzielnie ze swego zadania, niosąc wy-soko sztandar Polski.

OBÓZ DRUŻYNY

Jeszcześmy nie zdążyli odpocząć po Zlocie, a już nowa praca — przygotowanie obozu drużyny. Termin mamy krótki, bo zaledwie osiem dni.

Po załatwieniu niezbędnych spraw, jak zawiadomienie członków o obozie; zdobycie choć „zdźbła pieniędzy” oraz innych nie mniej poważnych kłopotów, dnia 20 lipca, o godzinie 12.50 wyruszyła z dworca warszawskiego na teren obozu grupa harcerzy w liczbie 15, a w tym samym czasie szosą, wiodącą do Mościsk, podążali dwaj cykliści, by jednocześnie stanąć w oznaczonym miejscu.

Mniej więcej o godz. 3-ej przybywamy na teren obozu i pomimo niesprzyjającej pogody z zapałem i werwą zabieramy się do pracy. Wstępne przygotowania trwają trzy dni. Trzy dni intensywnej pracy dały owoce wcale wyśmienite: stanęła w stylu gotyckim brama, obóz dookoła otoczono płotkiem z kółków i lin; na środku wyrósł maszt z dumnie powiewającą flagą, a poza nim pięknie urządzony stół z napisem „smacznego”, świadczącym o uprzejmości gospodarzy Piątki białostockiej.

Na lewo kapliczka zakopiańska, prawą zaś część obozu wypełniły namioty, dwie płócienne rudery, prawdziwa kłęska obozu. Dwa pozostałe rogi obozu wypełniono: lewy — ogniskiem, prawy — pięknym klombem z szyszek i piasku.

Czwartego dnia, gdy prace były na ukończeniu, przystąpiliśmy do normalnego trybu życia. A więc: gry harcerskie, przygotowanie się do prób, lekkoatletyka, kąpiel, a wieczorem ognisko, gdzie gawędzimy na tematy dla nas aktualne, potem śpiew „nasz uroczy, nasz kochany”.

6 sierpnia urządziliśmy wycieczkę krajoznawczą do Juchnowca. Oglądamy przepiękny kościółek, stamtąd maszerujemy do Lewic'ich, oglądamy dawny pałac, obecnie mocno zniszczony, robimy zdjęcia i wieczorem o godz. 7-ej jesteśmy z powrotem w obozie.

Odwieczając się państwu Pazderskim za okazaną nam pomoc, pomagamy przy mlócce, reperujemy zepsuty dach oraz staramy się, jak możemy, wyrazić, że jesteśmy im bardzo wdzięczni.

Na zakończenie obozu zaprosiliśmy księdza proboszcza tamtejszej parafii i okolicznych gospodarzy, ci zaś ujęci porządkiem obozu, serdecznością, z jaką ich przyjęliśmy, i trybem naszego życia, ofiarowali nam samorządnie pomoc w postaci zapasów żywnościowych, projektując przedłużenie obozu.

Gromkim okrzykiem podziękowania przyjęliśmy ten miły odruch ze strony sympatycznych gości.

Jeszcze tydzień życia obozowego umożliwił nam zorganizowanie gier i zabaw dla mieszkańców wsi, za co otrzymaliśmy serdeczne podziękowania z ich strony.

Kończąc ten pobieżny opis, dziękuję w imieniu całej drużyny wszystkim tym, którzy dopomogli nam w urządzeniu obozu, a szczególnie państwu Pazderskim, p. Kundom i p. Szredzińskim.

Druż. V B. D. H.

Garść wspomnień z wycieczki (w Krakowie, Tyńcu i Wiśle).

..... Do Krakowa przyjechałyśmy przed południem. Było tak gorąco, jakby to był nie maj, ale conajmniej koniec czerwca. Plecaki złożyłyśmy na dorożkę, a same odmaszerowałyśmy do schroniska. Było ono wspaniałe. Może to trochę prozaicznie cieszyć się na widok porządnego łóżka, wygodnego pokoju i t. d., ale bądźco bądź to wszystko są rzeczy bardzo ważne, szczególnie, gdy się „prześpi” noc w wagonie III klasy, w przedziale, w którym wszystkie dziewczynki chcą spać „na leżąco”. Słowem ogarnęło nas błogie zadowolenie na widok wspaniałego salonu, ada-



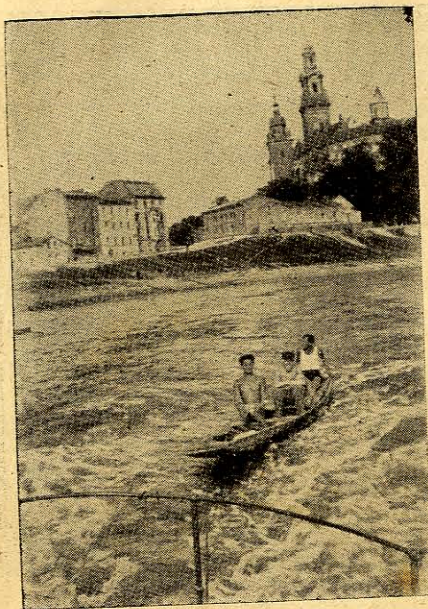
W muzeum Hutten-Czapich.

maszkowych tapet, posadzki, fortepianu (tak!) i, co najważniejsze, ogromnych lusterek, sięgających od sufitu do podłogi. No, czegoż więcej trzeba? Wnosimy do nowego swego mieszkania trochę zamieszania przy rozlokowywaniu się, bo przecież każda chce być w swojej „paczce”, „niedużo” hałasu zbytecznego, żartów, nawoływań, jak w ciemnym lesie, zresztą — porządek wzorowy.

Obmywamy z siebie kurz wagonowy, posilamy się — i wyruszamy na miasto. Oczywiście wszystko nas zachwyca, wszystko jest ładne, piękne, cudne, przepiękne.... stopniowanie przymiotników kwitnie! Z tem wszystkim jednak jesteśmy jakieś śpiąco-rozmarzone. Gorąco, stanowczo jest za gorąco! To też po obiedzie, który spożyłyśmy w kuchni Akademickiej Sodalicii Marjańskiej i po którym humor nam wielce się poprawił (czego przyczyną niekoniecznie mają być dania obiadowe!) ruszamy nad Wisłę. Tu jest trochę chłodniej, niż wśród kamienic miasta.

Z początku widok rzeki nie zrobił na mnie wielkiego wrażenia, wyobrażałam sobie, że wygląda wspanialej, że jest o wiele szersza. Nie zaszkodziło mi to jednak okręcić z radości „Don-Fernanda”¹⁾ ze trzykroć na wiadomość

¹⁾ Don Fernando, Małenka i Nel — są to przydomki koleżanek.



Na falach Wisły pod Krakowem

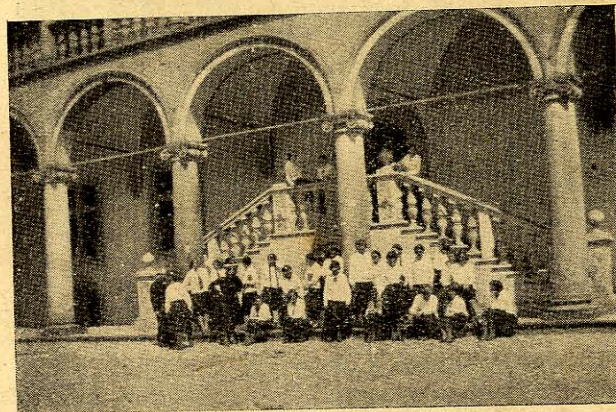
o przejażdżce statkiem — aż do Tyńca. Hurra! Niech żyje nasza kochana Pani Opiekunka!²⁾ Wprawdzie obawiała się nieco Pani, że pospadaemy z pokładu do wody, że się przeziębimy, bo wiatr wieje, etc. ale ostatecznie przekonałyśmy ją, że to nam nie zaszkodzi. Pojechaliśmy...

Od Krakowa do Tyńca odległość spora. Ilość kilometrów wyleciała mi już z pamięci (zdaje się, że 12). Posiadałyśmy gdzie kto mógł i jak kto mógł, najwięcej wymagające zeszły do kabiny; żeby tam było bardzo przyjemnie — tego nie powiem. Hel, Don - Fernando, Maleńka i ja wolałyśmy oglądać widoki brzegów Krakowa i Wawelu. A widok jest naprawdę przepiękny! Na wysokim, urwistym brzegu wznoszą się grube mury prastarego zamku, zarysowują się baszty, dawniej obronne, nad murami wieże Katedry Wawelskiej, a nad wszystkim jasny błękit nieba i złote światło słońca. Hen — widok Krakowa, kamienice, jak zabawki dziecka, zaś daleko — daleko Kopiec Kościuszki. — Cudnie! Statek mknie, jeżeli wogóle statek spacerowy krakowski może mknąć. Jazda jest wspaniała i bez przygód, trzy razy tylko odpoczywałyśmy na mieliznach, ale poza tem wszystko było bez zarzutu. Po paru godzinach dotarliśmy do celu podróży....

Słońce skłaniało się już ku zachodowi, gdy wraz z Maleńką drapałyśmy się na górę, na której wznosił się niegdyś sławny klasztor. Z wielkiej ilości budynków pozostał z dawnych tylko kościół, który jeszcze jako — tako się zachował. Właśnie odprawiano majowe nabożeństwo i kościół tonął w kwiatkach i zieleni. Zaszłyśmy do wnętrza, aby zmówić

²⁾ Wycieczkę odbywałyśmy pod kierownictwem i opieką p. prof. Br. Bartoszewiczówny.

pacierz, a potem oglądałyśmy ruiny. Wspaniała jest widok z framug okien na Wisłę i brzeg przeciwległy. Daleko ciągną się pola i łąki, tu i tam rozsiane chatki, bliżej brzegi rzeki, porośnięte krzewami, a wprost pod stopami niesie swoje szare wody Wisła. W murach porobiły sobie gniazda jaśkółki, które, zaniepokojone może naszą obecnością krążyły wkoło, napelniając powietrze ćwierkaniem i migając przed oczyma nakształt czarno-białych płatów. Tymczasem blad złota tarcza słońca zaczyna zabarwiać się na czerwono. Nasz „Kapitan” nagli do wyjazdu (chyba niepokoja go mielizny). No, rady niema, trzeba ruszać w drogę.



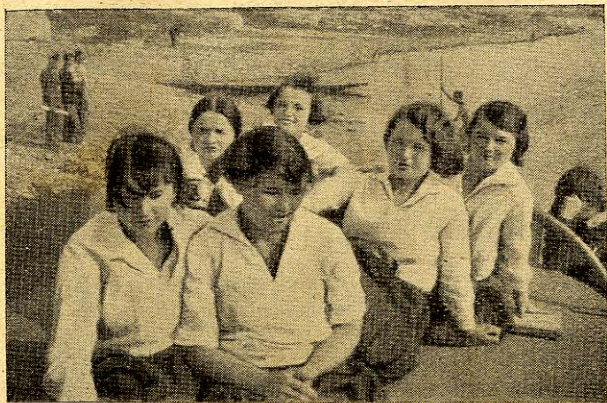
Na dziedzińcu Wawelskim.

Na statku nastrój nieco się zmienia, owszem jest dobry, pogodny, bo wszystkie zadowolone i wypoczęte po całodziennym turkocie i hałasie, ale nastrój inny, niż był w drodze do Tyńca. Najweselsze i najrozmowniejsze, wraz z P. P. Opiekunkami schodzą do kabiny, a bardziej „poetycznie” usposobione rozpraszają się grupkami po pokładzie statku. Zwolna zapada mrok. Jeszcze płonie zachód czerwona zorza, rzucając na ruchliwą powierzchnię Wisły złote, purpurowe i liljowe blaski, a już głąb nieba staje się coraz ciemniejsza — Anioł Nocy zapala na firmamencie pierwszą srebrną gwiazdę. Robi się chłodniej....

Maleńka i ja, otulone jednym płaszczem, skroń przy skroni, marzymy, zapatrzona w gasnące światło dnia, dzielimy się wrażeniami, odświeżamy je i utrwalamy. Jest nam tak dobrze razem, że chociaż trochę dokuczają chłodny wiatr, nie chce się iść do „kabiny”.... Tam jest za dużo „życia”

— werwy, humoru; tu tylko szum motoru zakłóca ciszę, poza tem nic nie słycać.

Cicho.... Kontury brzegów zacierają się coraz bardziej, woda ciemniej, gwiazd coraz więcej na niebie.... A oto na



W podróży na statku do Tyńca.

horyzoncie zjawiają się żółte ogniki obok srebrnych gwiazd., To światła Krakowa, kres podróży....

... Maleńka, ocknij się!... to już Kraków....

(T. P.)

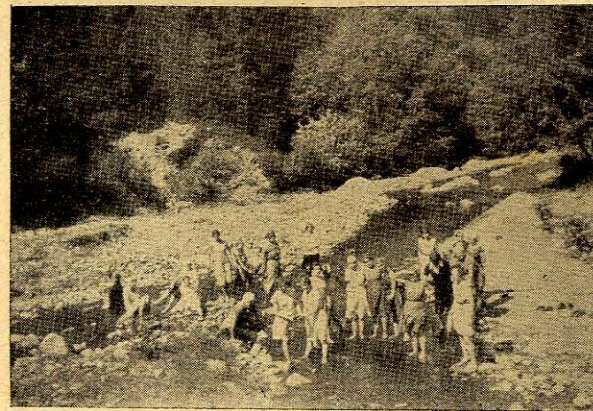
POBYT W WIŚLE:

Godz. 23-cia. Jasna, księżycowa noc. Pociąg staje — jesteśmy w Wiśle. W bajecznych humorach wysypujemy się z pociągu i idziemy do szkoły powszechnej — do naszego „domu”. Ani rusz nie możemy sobie uświadomić, że to noc, że wszyscy śpią — śpiewamy, śmiejemy się — chciałobyśmy, żeby wszyscy razem z nami cieszyli się z tego, że są w Wiśle — w kochanej, uroczej Wiśle.

Następnego ranka zrywamy się czempredzej — aby wykorzystać do ostatniej minuty — słońce — powietrze — swobodę. Slicznie tu. Niewysokie zbocza Beskidów — całe pokryte lasami, toną w złotym słońcu, ostro odcinając się od nieskazitelnego błękitu nieba.

Jesteśmy trochę oszołomione tą naturą — tem słońcem gorącym — powietrzem — wszystkim.

Do obiadu spędzamy czas na „łazikowaniu” nad Wisłą i myszkowaniu po pobliskich zboczach. Las świeży — pachnący — idziemy roześmiane — dziwnie radosne, chłonąc w siebie całe piękno natury bogatej, przepysznej... Nagle



U źródeł Wisły.

stajemy zdumione — gęstwina urywa się — a przed nami dużo... dużo... białych, olbrzymich rumianków. — Cała polana zasypana kwieciami.. Sliczny zakątek. Ciemna zieleń lasu — przezyste, białe morze kwiatów i niezakłócony, matowy błękit nieba. Wszystko to oblane i wyostrzone w kolorach — złotem, gorącym słońcem.... Pod nami wiję się Wisła — płyciutka tutaj i wąska. Po południu idziemy na Stożek!

Wyruszamy wszystkie z laskami (a jakże) i jaknajlżej ubrane — (bo upał szalony —) w przepysznych humorach. Żadna nie czuje zmęczenia 6-cio dniowego, nieustannego chodzenia, zwiedzania „itede”. Idziemy roześmiane, rozśpiewane — ciesząc się z całego świata — ze wszystkiego i z niczego. Początkowo kierujemy się doliną Dziechcinki, ale potem schodzimy na drogę i kierując się znakami orientacyjnymi — dążymy do Stożka..... Pić się chce potężnie tak że „kosztujemy” każde źródło, strumyczek — chcąc dojść do wniosku — jaka woda będzie najsmaczniejsza....

Idziemy... idziemy — i nie możemy dojść. Już część pozostała w tyle — ale inne wytrwale idą naprzód, zwiększwszy nawet tempo marsza. — A gorąco! Coś okropnego.

A tu taka pokusa — kaskada spadającej z głazu wody — takiej napewno zimnej, zimnej wody. Nie dajemy się

długo kusić i za chwilę chlapiemy się w wodzie. Oj — jak przyjemnie! Po pewnym czasie wyruszamy w dalszą drogę... I znowu idziemy, idziemy... i nie możemy dojść.

Wreszcie stajemy — u podnóża Stożka i zaczyna się wchodzenie na szczyt. Coraz mniej nas... zaledwie kilka daży wytrwale w niezmińszonem tempie. Dokoła nas pachnie żywiczny las — przesycony gorącem — słońca... Na drodze pełno potwornych, garbatych grzbietów korzeni — wreszcie dochodzimy do miejsca, od którego prawie pionowo trzeba wdrapywać się na szczyt... Jest wprawdzie inna, okrężna droga spiralna — ale myśmy postanowiły, że na Stożek — musimy się „wdrapać”.

Ale to troszeczkę łatwiej powiedzieć, niż wykonać. Ścieżka pnie się pionowo... glina obmokła na deszczu, niemożliwie śliska — a tu drap się człowieku! (gorąco!) Jeden krok w górę... dwa zjeżdżamy „na gapę” w dół. — A tu jak na złość jakaś brzoza zwalona wpoprzek drogi. Wreszcie dochodzimy do słupka z napisem „5 minut drogi na szczyt”. Idziemy, właściwie drapiemy się... tak trochę na czworakach... Po pewnym czasie spostrzegamy drugą tabliczkę z napisem „10 minut drogi na szczyt” ??? — Miła perspektywa! No ale wkońcu jesteśmy na szczycie. Narazie nas tylko dwie. Przed nami z jednej strony Polska — z drugiej Czechosłowacja.

Dalekie szczyty i pasma gór — zasnuwane siną mgłą... u stóp góry mała wioska czeska. Słońce zachodzi — na dole już go niema — tu ostatnie promienie złocą górę... stoimy długo... długo... Po 30-tu minutach nadchodzi jedna paczka dziewczynek, wkrótce druga... wreszcie wszystkie się zeszły... Siedzimy dobrą godzinę na Stożku — potem wracamy do Wisły....

Wracaliśmy dość osobiście... „Schodziliśmy” z góry w bardzo szybkim tempie... no tak... nie tyle schodziliśmy, ile „zjeżdżaliśmy” — no ale w końcu byliśmy w Wisle!... Był już wieczór... z za lasów wschodził księżyc.

Następnego dnia zrywamy się o 6-ej. — Pogoda cudna. — No... no — jeżeli o 6.30 z rana jest $+53^{\circ}$, to co będzie w południe?

Koło 12-ej wyruszamy do Baraniej Góry. Dwa wózki góralskie umajone zielenią, i jedna bryczka są do naszej dyspozycji. Gramolimy się wśród śmiechu i wrzawy... Małe, mocne koniki — ruszają ostrym kłusem. — Jaka to była cudowna jazda! Podskakujemy niemiłosiernie na deskach — słońce praży bezlitośnie — ale humory mamy świetne. Widzimy ślicznie położony zamek p. Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego.

Wśród gwaru, nieustających wybuchów śmiechu i wesołej paplaniny dojeżdżamy do miejsca, gdzie Czarna i Biała Wisielka łączą się, zlewając się w Wisłę... Robimy zdję-



W drodze na Stożek.

cia i jedziemy dalej. Po niejakiem czasie stajemy u podnóża Baraniej. Żegnamy naszych „uroczych Jaśków” — którzy powozili i zaczyna się wdrapywanie na szczyt. Jest ono o wiele mniej uciążliwe niż poprzednie i wkrótce jesteśmy w schronisku. Po posiłku wyruszamy w dalszą drogę. — Niedługo stajemy na szczycie. Sama góra nie jest ładna — określiliśmy, że jest stanowczo „za lysa” — ale widok bajeczny! — Taka przestrzeń — dzika — wolna — uroczyista.

Długo, długo siedzieliśmy na Baraniej. — Potem zaczyna się powrót drugim zboczem góry....

Upał straszny... idziemy jednak ochoczo, w wesołym nastroju... Po drodze natrafiamy na Białą Wisielkę i posta-

nawiamy dojść do źródeł.—Zaczynamy wdrapywać się w górę, idąc łożyskiem rzeki skaczemy po oślizgłych kamieniach — chwytamy się kępek traw... i pniemy się w górę — Ale niestety musiałyśmy zrezygnować z dojścia do źródeł, gdyż nie można wprost iść tem łożyskiem rzeki.

Wracamy — Po dłuższych tarapatach dochodzimy do schroniska, gdzie czekają na nas konie — Pakujemy się na wózki i zaczyna się powrót do Wisły. Jeszcze weselszy, niż ze Stożka — i przynajmniej z przygodami.

Nie — nasz wóz stanowczo miał pecha! Ledwo odjechałyśmy jakieś 300 m. — gdy dwie koleżanki spostrzegają brak teczki. Naturalnie zostawiły w schronisku.—Gdy wróciły — ruszamy dalej. Ale nie było nam sądzone spokojnie dojechać do celu. W połowie drogi — gdy wesołość nasza doszła do punktu kulminacyjnego — nagle — trach..... łańcuch pękł — deska spadła! — Pisk — krzyki i nadewszystko szalony, beztrojski śmiech. — No — naprawione — jedziemy! Ale znowu — w momencie gdyśmy się tego najmniej spodziewały—znowu łańcuch pęka.... Tak było coś cztery, czy pięć razy. W końcu dojeżdżamy do Wisły. — W „domu” byliśmy o 40 minut później od innych.

Następnego dnia odjazd! —

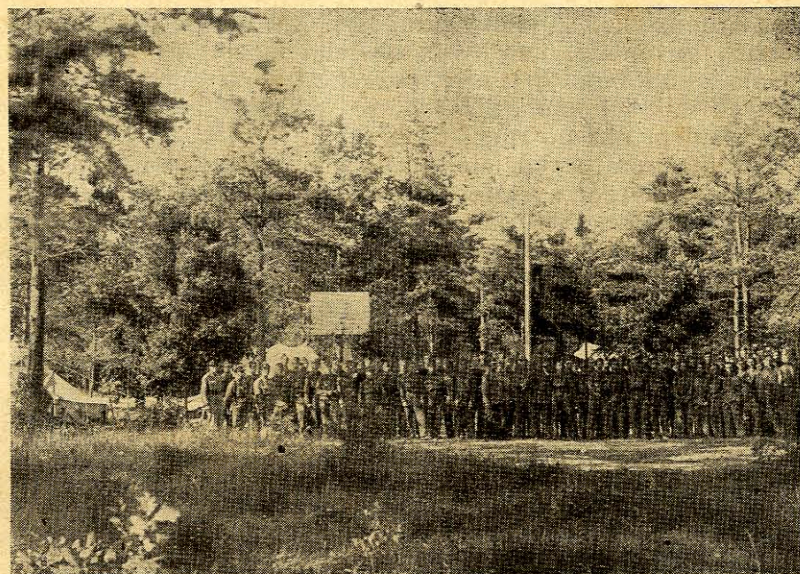
Smutno nam było — bardzo smutno — te dwa dni pobytu w Wisle to najpiękniejsze wspomnienia z wycieczki....

Pociąg ruszył — Stoimy wszystkie w milczeniu — żegnając kochane góry. Wuka.

Obóz w Grandziczach

Rokrocznie urządzone są obozy letnie P. W. i W. F. na terenie D. O. K. grodzieńskiego w Grandziczach nad Niemnem, 6 klm. od Grodna. Podobny obóz był też i w tym roku, lecz różnił się znacznie od poprzednich. Dawniej obóz trwał 5 tygodni, w tym zaś roku zaszły w urządzeniu obozu wielkie zmiany, bo podzielono okres obozów na kilka dwutygodniowych „tur”.

Wcześniej bo o 5,30 godz. byłem na placu komendy, gdzie już zastałem kolegów z gimn. im. Marszałka J. Piłsudskiego i ze Szkoły Rzemieślniczej, którzy podobnie, jak ja, mieli udać się do obozu. Czekamy. Coraz więcej gromadzi się amatorów obozu, wkrótce nadchodzą sierżanci. Ci też



Obóz P. W. i W. F. w Grandziczach.

wydali nam karabiny, z których mówiąc nawiasem, ani razu nie strzelaliśmy, i ładownice, które przez całe dwa tygodnie nie widziały nabojów. W kancelarii komendy porządkują nasze książeczki, my zaś z wielką niecierpliwością oczekujemy wymarszu na dworzec kolejowy. Tu wystawiono naszą cierpliwość na próbę, gdyż musieliśmy czekać tylko do godz. 11-ej.

Na dworcu czekała nas znowu mała niespodzianka, bo poprostu nie chciano nam pozwolić na przejazd do Grodna, motywując to brakiem miejsca w pociągu. Po krótkiej jednak, lecz stanowczej walce z konduktorem wsiadamy do ostatnich wagonów i już uspakajamy się myślą, że po 2 godzinach jazdy będziemy w Grodnie.

Pociąg ruszył.. Białystok znika nam z oczu... Przez okna wagonu obserwujemy krajobraz, który jest niezbyt ciekawy, bo nudnie jednostajny.

Wkrótce też jesteśmy w Grodnie. Tu przed dworcem kolejowym zostawiamy nasze plecaki i walizy, sami zaś z karabinami maszerujemy ochoczo ulicami w kierunku na szosę grandzicką. Idąc ul. im. Orzeszkowej, widzimy na skraju skwerku miejskiego pomnik autorki „Nad Niemnem”, która swój żywot zakończyła w Grodnie. Dalej podążamy

szosą grandzicką, później skręcamy na drogę polną i już jesteśmy w obozie. Tu powstaje wielki harmider i ruch, gdyż właśnie, podobnie jak my, przychodzą do obozu koledzy z innych miast, komenda zaś obozu ma ciężką pracę z rozmieszczaniem nas po namiotach.

Ostatecznie przydzielono nas do trzeciego namiotu w II obozie. Wieczór i następny dzień upływa na robieniu porządków w namiotach, jak też dokoła nich. Na próżniactwie upłynął nam tylko jeden dzień, gdyż zaraz następnego dnia obudziła nas trąbka o 5 godz. Po uporządkowaniu łóżek stajemy drużynami w dwuszeregu do modlitwy. Śpiewamy „Kiedy ranne wstają zorze...” i tylko w spodeńkach udajemy się na pole przed namiotami aby odbyć ranną gimnastykę. Gimnastyka, którą w szkole uważamy zwykle za jedną z najlepszych lekcji, tu jest przez nas ogólnie widziana niemile, gdyż ogranicza się do ukłonów japońskich, najrozmaitszych przysiadów i wypadów, jak też obrotów głowy w lewo i prawo, a co najgorsze, leżenia na trawie pokrytej ranną rosą.

Po 40 minutowej gimnastyce wracamy ze śpiewem do namiotów, gdzie zabieramy mydło, ręcznik i menażkę na herbatę i idziemy myć się do Niemna. Tam jednak długo nie bawimy, a ustawiamy się w długim szeregu przed kuchnią. Śniadanie jemy przeważnie w namiotach. Często nie zdążymy zjeść śniadania, a już słyszymy wołania kaprała. Ustawiamy się szybko przed namiotami, bo na maruderów wynaleziono dobry środek i zapisanie do karnego raportu.

Potem idziemy na plac zbiórki, gdzie przerabiamy kilka chwytów z karabinami. Wkrótce nadchodzi p. porucznik wita się z nami poczem w czwórkach odmaszerowujemy na ranne ćwiczenia z karabinami. Tu mamy najpierw lekcję teoretyczną, a potem żmudne ćwiczenia z karabinami. W razie opieszalego wykonania — kara. Dobrze zmęczeni wracamy do obozu około 12 godz., gdzie wkrótce pobudka wzywa nas na obiad.

Ustawiamy się drużynami przed namiotami i całym obozem idziemy do kuchni. Tam stajemy kolejno obozami, tworząc w ten sposób długą kolejkę, która nieraz przekraczała 100 m. Otrzymany obiad jemy zwykle na stołach w pobliżu kuchni.

Po obiedzie znów godzinkę ćwiczymy się z karabinami tuż przy namiotach. Wprawiamy się w chwytach, złożeniach, postawach z karabinem. Najchętniej wykonywamy postawę strzelecką, leżąc z podpórką, bo leżeć na trawce jest wcale przyjemnie.

Potem—znowu gimnastyka, która jednak znacznie różni się od rannej i dla tego jest przez wszystkich lubiana, szczególnie z powodu panującej swobody. Jedni więc grają w siatkówkę lub w koszykówkę, drudzy rzucają kulą, dyskiem, lub granatem, jeszcze inni próbują swych sił w skoku w dal i w zwyz, jak też w biegach. W poniedziałek 13 lipca odbyły się rozgrywki międzyobozowe w siatkówce i koszykówce. Nasz II obóz odznaczył się bardzo ładną grą, gdyż wygrał 68:0 z przeciwnym obozem. Nazajutrz odbył się finał gier, którym przyglądali się zebrani goście.

Po gimnastyce mieliśmy zwykle kąpiel w Niemnie. Wkrótce też nadchodziła godz. 6, o której rozlega się na terenie obozów pobudka na kolację. Znów w czwórkach idziemy do kuchni po nasz posiłek. Składał się on z kaszy, fasoli, grochu lub zupy i herbaty. Wieczorem też otrzymujemy w kantynie chleb na cały dzień. W namiotach dzielimy zwykle otrzymany chleb, jak również masło lub marmeladę. Trud ten, wcale nie łatwy, spadał na barki drużynowego. Nie wiem, jak w innych namiotach funkcjonowała ta czynność, w naszym jednak obowiązki swoje spełniał znakomicie nasz drużynowy, kol. Jodkowski z Grodna.

Po kolacji zwykle urządzano wspólne ognisko dla wszystkich czterech obozów. Drzewo na ognisko znosił obóz służbowy, który nieraz przygotował tyle gałęzi, że można było nimi rozpalić ognisko, sięgające swymi płomieniami gałęzi wysokich sosen, tak, że była obawa pożaru. Przy ognisku zbieramy się nie tylko my, lecz są tu obecni oficerowie i podoficerowie, którzy przysłuchują się naszym śpiewom. Raz nawet p. kapral z naszego obozu pożyczył kol. z Wilna swych skrzypiec, na których ten odegrał kilka ładnych piosenek. Najczęściej jednak śpiewaliśmy przy ognisku, dzieląc się na pewne grupy, czyto obozami, czy miastami. Należy przyznać zupełnie bezstronie, że najlepiej śpiewali koledzy z Lidy. Oprócz tego mieli pomiędzy sobą dobrego solistę, który pewnego wieczoru śpiewał doskonale „Szumią jodły” z „Halki” za co nagrodzono go niemilknącemi oklaskami. Wkrótce też stali się popularni i często dawały się słyszeć okrzyki: „Lida śpiewaj!” Innego wieczoru dwaj kol. odegrali kilka modnych kawałków na mandolinie. Tak spędzaliśmy wesoło wieczory. Potem następowała modlitwa i wszystkie obozy śpiewały razem „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Następnie wracamy do naszych namiotów, gdzie czasami odczytywano rozkazy na dzień następny.

Od godz. 9 miała już panować w namiotach zupełna cisza i spokój, ale niema reguły bez wyjątku, tak też i u nas

niekiedy też później można było słyszeć rozmowy i śmiechy. Nie wszyscy jednak mogli wypocząć po całodziennych trudach, bo w obozach przez całą dobę były wystawiane warty, które w dzień były przyjemnością, a w nocy niebardzo, bo stać 2 godziny na warcie chyba nie należy do przyjemności.

Podobnie spędziliśmy cały czas pobytu w obozie z wyjątkiem dwóch dni: 7-VII i 11-VII, które mocniej utkwiły nam w pamięci.

Niespodzianką tegorocznego obozu były dwa marsze, których nie urządzano dawniej. Marsze te nawet przyczyniły się w znacznym stopniu do pesymistycznej oceny obozu przez niektórych.

We wtorek zaraz po śniadaniu wyruszyliśmy na marsz 20 klm., tylko oficjalnie, gdyż rzeczywiście przeszliśmy ponad 30 klm. Z samego początku posuwaliśmy się marszem ubezpieczonym, tak, że siły główne, gdzie też i ja byłem, posuwały się prawie spacerem. Szczęśliwe jednak chwile szybko minęły, gdyż po odpoczynku w jakiejś małej wioseczce, gdzie nawet nie mogliśmy się napić czystej wody, ruszyliśmy marszem z powrotem do obozu trochę szybciej, niż szliśmy dotąd. Upał dawał się coraz bardziej we znaki i wszyscy z głowami pochylonemi do ziemi, zapomniawszy nawet o śpiewie, szli niezbyt zadowoleni z wyprawy. Koniec był bardzo żalorny, bo zamiast powracać szosą do obozu, która to droga była o wiele krótszą, musieliśmy maszerować do obozu na przełaj po pagórkowatych polach. Wogóle rozsypaliśmy się wówczas na wielkiej przestrzeni tak, że powracaliśmy, jak Napoleon z pod Moskwy. Większość sądziła, że nie dojdzie do obozu, jednak był to tylko pozór, gdyż jakiś klm. od obozu potrafiliśmy w czwórkach śpiewać i wystukiwać równy krok.

Marsz ten był próbą do marszu właściwego, który odbył się w sobotę 11-VII.

W marszu tym brały udział wszystkie obozy. Ustawiliśmy się na placu zbiórki z kocami i karabinami o godz. 16 poczem od p. kapitana wysłuchaliśmy wytłumaczenia celu naszego marszu. Naraz spadł ulewny deszcz i my, dobrze zmoczeni, porzbięliśmy się po namiotach. Po godzinie deszcz przestał padać i wyruszyliśmy znowu z obozu ze śpiewem. Celem naszego marszu była wieś Hoża. Szliśmy w marszu ubezpieczonym i około godz. 10 wieczorem byliśmy we wsi. Sądziłyśmy, że tam dadzą nam kolację i półdziemy spać do stodół.

Czekała nas jednak dwugodzinna praca, bo wysłano

na placówki, które porozkładaliśmy na wzniesieniu tuż za wsią. Tam p. kapral wyznaczył nam funkcje i powysyłał do sąsiednich placówek patroli łącznikowe, ustawił karabin maszynowy, wyznaczył posterunek alarmowy. Ciemność nocy przyczyniła się do tego, że nasze patroli łącznikowe wpadły w ręce nieprzyjaciół, a sama placówka też została otoczona przez drużynę na czele z p. sierżantem. Niebardzośmy się tem przejęli, p. kapral natomiast miał minę zasmuconą, że dał się wziąć do niewoli. Po tym wypadku z rzekomym nieprzyjacielem wróciliśmy do wsi, gdzie zjedliśmy kolację i porozkładaliśmy się w stodółach spać.

Nazajutrz zbudziła nas pobudka o 5 godz. Wymywszy się przy studni, po śniadaniu poszliśmy na nabożeństwo do miejscowego kościoła, pozostawiwszy przedtem broń w kozłach na placu przed kościołkiem. Po odprawieniu mszy ksiądz, były żołnierz z czasów wojny polsko-bolszewickiej przemówił do nas, podkreślając jak ważną rolę odgrywają obozy P. W. i W. F. ze względu na naszych niepewnych sąsiadów.

Potem marszem forsownym wyruszyliśmy zpowrotem, pozbywszy się przedtem tych wszystkich maruderów, którzy nie mogli iść w tak szybkim tempie, gdyż jeden klm. zrobiliśmy w rekordowym czasie w ciągu 7 min., następne zaś przebywaliśmy w 8 min. Po dwugodzinnym marszu, dobrze zmęczeni i spoceni, byliśmy w namiotach.

Pozostały nam jeszcze dwa dni życia obozowego, które tak szybko minęło. W poniedziałek nie poszliśmy już na ćwiczenia polowe, ale zdawaliśmy egzamin z tego, czego nauczyliśmy się w ciągu dwóch tygodni. Na tym egzaminie z wojskowości wielu się „ścięło”, uczniowie jednak naszego gimnazjum, jak się później dowiedziałem, otrzymali wszyscy świadectwa II stopnia. Nazajutrz odbyło się uroczyste zakończenie obozów, a my załatwiwszy wszelkie formalności, odjechaliśmy autobusem do Grodna, skąd powróciliśmy do Białegostoku.

Tegoroczny obóz, jakkolwiek trwał stosunkowo krótko, pozostawił po sobie u uczestników miłe wspomnienia. Nie potrafiły ich zmniejszyć niewygody i trudy życia obozowego, gdyż świadomość ich ważności wzbudziła w każdym z nas uczucie zadowolenia z pożytecznie spędzonego wypoczynku.

A. D.

Wielkie harce „Dwójki”.

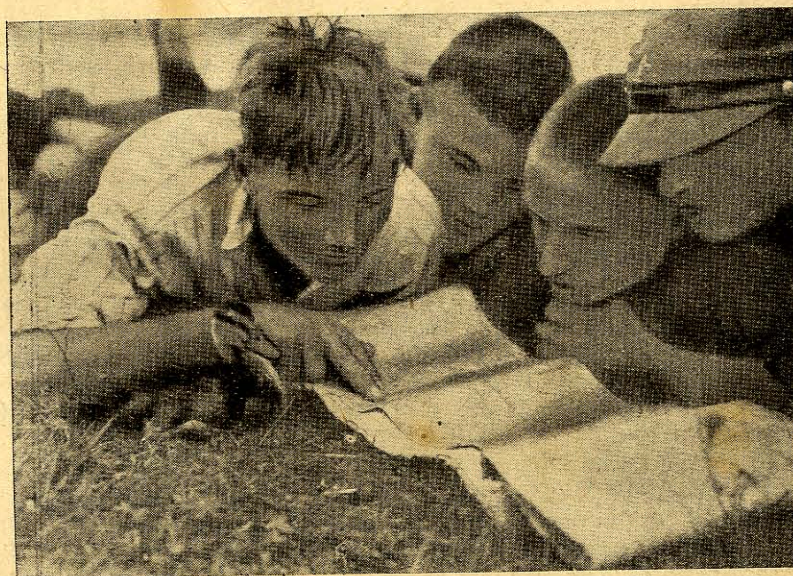
W lipcu b. r. 2-ga Białostocka Drużyna Harcerska śladem lat ubiegłych urządziła obóz, tym razem w Suwalskiem, koło miejscowości Giby. Obóz „Dwójki” należał nominalnie do grupy 6-ciu obozów Chorągwi Białostockiej, leżących blisko siebie, w której skład wchodziły jeszcze obozy: Komendy Chorągwi, drużynowych, uczniów gimn., (jeden zastęp z naszej drużyny), szkół powszechnych i mieszany.

Po wielu tarapatkach, a w czasie podróży z Augustowa jednym tylko załamaniu się wozu z naszym Drużynowym, (ciężar mózgu stężonego w myślach o organizacji obozu) dostaliśmy się wreszcie do Gib — dużej wioski. Następnie nadjechali harcerze innych drużyn. W budynku szkoły powszechnej złożyliśmy nasze „manatki”, sami zaś ze sprzętem pionierskim ruszyliśmy do lasu na przeznaczone miejsca obozowania. Naszej drużynie przeznaczono na obóz ładne wzgórze, porośnięte sośniną, leżące tuż nad samym jeziorem „Pomorzem”. Na wzgórzu postawiliśmy cztery szałas z słomy. W jednym zamieszkała szanowna Komenda obozu w osobach: Drużynowego — „Konwalijki”, (patrz „Bez tytułu” — „Głos Uczn.” rok IX Nr. 3), „Łamignata”, (czytaj Instruktor W. F.), Oboźnego — „Zygmunia” i Gospodarza — Edka „Grajka”.

Dalsze trzy szałas zajęły zastępy: poważnych „Jastrzębi”, „Orłów” i wilcząt „Dzieciołów” (wilczki i dziecioły zarazem)!!? Mały namiot służył do przechowania prowiantów (grunt żołądek!! — przyp. „repeciarza”) i inwentarza. Szałas spełniały świetnie swe zadanie, dopóki nie padał deszcz, gdy zaś niebo otworzyło swe „upusty”, ogólnem było we wszystkich szałasach „zjawisko kapania”, ale nato obóz, żeby zażyć takich „przyjemności”. Na stół z ziemi w kształcie ślimaka podawano potrawy z kuchni, zbudowanej „kunsztem” murarskim z kamieni wydartych w pocie czoła z dna pomorskiego. Niezbędny w każdym obozie maszt przyholowaliśmy z brzegu przeciwległego, a oprócz innych zwykłych urządzeń obozowych mieliśmy nawet własną ciemnię fotograficzną głęboko w ziemi. (Doskonałe miejsce „ulatniania się” pewnego „Jastrzębia”).

Szybko następowały niepodobne do siebie dni pracy obozowej.

Ważnym momentem dnia były ogniska, często wspólne dla całej grupy obozów. Olbrzymi ogień obsiadają wielkim kołem „bracia” z wszystkich części województwa. Naczelne



Obóz harcerski w Gibach: studjowanie mapy
(udział w pracy bierze ulubienica obozu)

miejsce zajmuje Komendant Chorągwi, druh Eugenjusz Sikorski i druh Leonard Mokicz (popularnie zwany mianem „Bajadery”) z „zacną świtą”. Rozlegają się zrazu poważne, potem wesole, a gromkie piosenki, odbijając się pięknem echem o wielkie bory. Modnemi piosenkami na obozie były: „Laleczka”, „Budziarki” i „Panna Franciszka”.

Na spokojnych o tej porze toniach jeziora lekko gnie się smuga księżycy, a zdala z mroków lasu spogląda groźnie na wesołych harcerzy czarny „bożek alarmów” (pendzla niewiadomego), syty ofiar, po których leżą, przed wiecznym (wiecznie nie palącym się) zniczem, tylko kości (N. B. znalezione po polach w czasie harców). Okrzyk Chorągwi brzmiał: „Ruch! — to życie! Ruch! — to życie! Ruch! Ruch! Ruch!”

Którejś nocy zawitały do naszego obozu dwa „szczury wodne” na kajaku, korzystając więc z tego środka lokomocji, paru z nas jeździło czasami na ognisko na drugi brzeg jeziora (t. zw. „Przejminy”) do obozu Mazowszan. Ogniska w naszym obozie miały specjalny urok, bo ogień płonął na zboczu tuż nad wodą.

Kiedy raz zaledwie zaczęliśmy śpiewy przy ognisku, „Mazowsze” zaalarmowało nas o niewidocznym z naszego

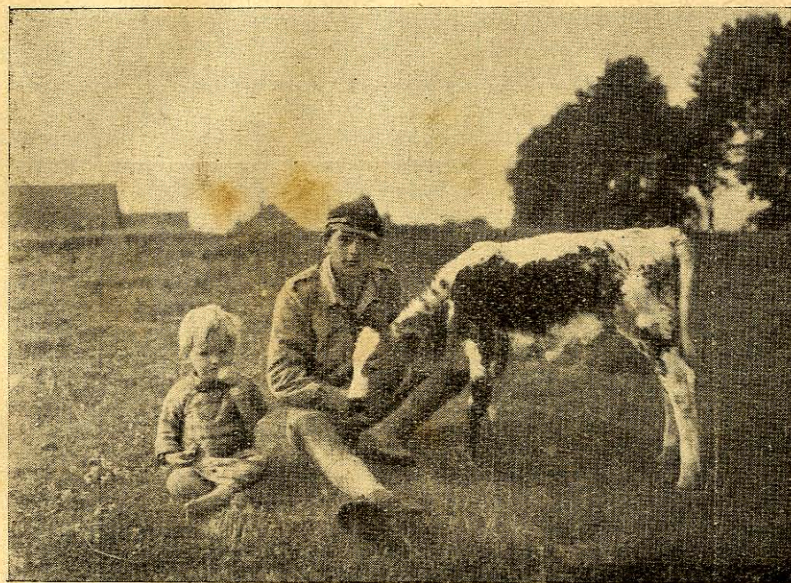
brzegu pożarze: „Pożar! — kierunek Posejnele”! Wysławszy gońca do innych obozów, chwyciliśmy wiadra, siekiery i szpadle, i biegiem ruszyliśmy do gaszenia ognia. Przybyliśmy do pożaru prawie pierwsi, potem inne obozy. Płonęła chata. Natychmiast ustawiliśmy się w długi łańcuch do dość odległej rzeki i podawano wiadra z rąk do rąk. Pożar wkrótce ugaszono, pomagając równocześnie wieśniakom w asekurowaniu sąsiedniej chaty.

Na Mszę św. chodziliśmy w niedzielę do Sejn (15 klm. od obozu), zaś w wigilję Wniebowzięcia M. P. wszyscy członkowie naszego obozu odbyli Spowiedź św. i przystąpili do Komunii św.—Sejny — to mała miejscina, leżąca nad Marychą albo Sejną, ma ładny kościół poddominikański, w roku 1805 zamieniony na parafjalny, a w dwadzieścia lat na katedrę diecezji augustowskiej. Dzisiaj diecezja przeniesiona jest do Łomży. Sejny mają gimnazjum biskupie i kolegiate.

Okolicę dobrze poznaliśmy na trzydniowej t. zw. „Wielkiej wojnie”, na którą ruszyło dwanaście szczeptów — zastępów ze wszystkich obozów. Każdy zastęp miał inną trasę, tylko na niektórych odcinkach pokrywającą się z trasami innych zastępów. Sama „walka” polegała na tem, by inne zastępy widzieć, a samemu być niewidzialnym (dobra wojna!). Z naszego obozu brały udział w „wojnie” „Jastrzębie” i „Orły”. Ci pierwsi zrobili przez 3 dni koło 100 klm. drogi, która prowadziła m. in. przez młownicze jezioro Wigry (łódkami) i Suwałki, gdzie było kilkogodzinne „zawieszenie broni” w celu wysłuchania Mszy św. Miasto zwiedziliśmy pobieżnie z powodu deszczu. Najładniejszym odcinkiem drogi była okolica wsi Szwajcarji, gdzie robiliśmy wywiad krajoznawczy. Wieniec zwycięstwa zapewniło „Jastrzębiom” uchwycenie „szpiega” w postaci zwykłej, małej kacuszki, która ich w jakiejś wsi tak upodobała, że musieli ją kupić od właściciela. „Orły” dotarły do granicznego z Litwą jeziora „Gaładus”. Nasz obóz potem miał swoją całodzienną „wojnę”. Składał się na nią cały szereg gier, dobre uczynki, bieg skautowy, tropienie, propaganda cukru wśród ludności, pływanie, lekkoatletyka i t. p.

Mieliśmy także wycieczkę do granicy z Litwą. Stanowi ją w tem miejscu kręta rzeka Marycha, a oznakami granicznymi są wiechy osadzone na wysokich tyczkach. Służbę graniczną sprawuje K.O.P. (Korpus Ochrony Pogranicza).

W czasie tych wędrowek po okolicy, przeprowadzaliśmy propagandę polskości, a przytem poznaliśmy dobrze lud wiejski tych okolic. Wszyscy wieśniacy, a nawet „staro-



Obóz harcerski w Gibach: na łonia natury.

wiercy” (dosyć liczni, posiadający własne wsie) opowiadają się stanowczo za Polską, do Litwinów odnoszą się obojętnie, częścię wrogo.

Jezioro „Pomorze” długie jest na kilka kilometrów, a szerokie do 500 metrów, głębokość dochodzi do kilkunastu metrów. Koło jeziora mieliśmy świetną plażę, a woda była idealną do kąpieli. „Łamignat” od pływania z Kom. Chorągwi uczył wszystkich pływania Croulem, że podobno nawet muchy w zupie (jak twierdzą naoczni świadkowie) przejęły się świetnym systemem Croula (nauka w las nie idzie)! W czasie kąpieli, oprócz zwykłej straży brzeżnej, asekurował pływających kajak, pod jego też „eskortą”, co raz to któryś pływak zdobywał nasz kanał „La Manche”, przepływał jezioro. Często, gdy ukazała się na jeziorze jakaś łódka, wówczas odbywał się wyścig do kajaka (oczywiście jeśli to był wolny czas), a ostatecznie dwóch wybrańców losu otaczało wielkiem kołem łódkę i wracało ze zwieszonymi nosami: rybacy, lub jakiś łysy wędkarz!

Któregoś dnia przed pobudką obudziły „tyranistyczną” komendę naszego obozu straszne „wycia” i bębnienia w kotły, patelnie i inne instrumenty fachu kulinarnego, to „motloch” obozowy zbuntował się i urządził t. zw. „Zielony

dzień”. Po wielu „rewolucyjnych” przemowach i wywieśnieniu czarnego sztandaru wolności, „tłuszcza” wtargnęła do szałasów Komendy, członków jej powięzała. Dużo „rzucającego się” gospodarza przewieziono na drugi brzeg, gdzie szukał schronienia u Mazowszan. W obozie ogłoszono imieniem rewolucjonistów „czas wolny do plus nieskończoności”. Już pod wieczór władza Komendy została przywrócona, bo musieliśmy się szykować, do mającego się wkrótce odbyć „święta obozowego”.



Słoneczna siesta na brzegu jeziora „Pomorza”

„Święto obozowe” dnia 26 sierpnia rozpoczęło się Mszą św. w obozie Komendy Chorągwi. Na uroczystość dnia tego przybyło moc gości z okolicy, i wycieczka krajoznawcza z Białegostoku pod kierunkiem p. prof. Kosińskiego. Po Mszy św. i kazaniu odbyła się defilada wszystkich obozów, a brali w niej też udział mili goście — drużyny: żeńska i męska z Łomży, obozujące w tych stronach. Następnie odbyły się zawody w biegach, skokach, siatkówce i pływaniu, także pokazowy bieg harcerski z przeszkodami. Goście zwiedzali z zaciękawieniem obozy, każdy utrzymany w swoistym oryginalnym stylu, a obozowy obiad smakował im podobno wyśmienicie. W czasie przerw w programie dnia, przygrywała do tańca orkiestra K.O.P’u. Wieczo-

rem odbyło się bogate w treść ognisko. Drużyna nasza dała podobno efektowny pokaz: walkę rycerzy na dworze Sultana.

Życie obozowe było bardzo przyjemne, dlatego ze smutkiem zebraliśmy się na ostatnie ognisko, na którym odbyło się Przyrzeczenie harcerskie, a na zakończenie każdy z gości i harcerzy wzięli z ogniska kawałek węgla, by wrzucić go do pierwszych obozowych ognisk na przyszły rok, ale już gdzieś na innych rubieżach Polski.

Wreszcie olbrzymi sznur wozów wiezie nas do Augustowa. W Grodnie zatrzymujemy się jeden dzień, zwiedzamy miasto razem ze spotkaną „czwórka” żeńską z Łomży, potem wracamy do Białegostoku. „Gozdawa”

DZIAŁ LITERACKI.

Do młodzieży.

Niech nie opuszcza Cię nigdy pogoda,
Niech śmiech Twój będzie i szczery i świeży.
Jesteś młodzieżą! Dusza Twoja młoda
Wrażliwą, dźwięczną niech będzie, młodzieży!

Niechaj entuzjazm pierś Twoją podnosi
I niech rozgrzeje ją świętym swym zniczem.
Kochaj świat cały! Niech serce Twe głosi,
Że bez miłości z nas każdy jest niczem.

I niechże duma, a nie szumna pycha,
Czynów Twych będzie dźwignią i kompasem;
I niech ofiara wzniosła, chociaż cicha
Nęci Cię bardziej, niż okłask z hałasem.

Niechże pod jasnym poznania promieniem
Duch Twój wyraźne przyjmuje kontury;
I niechaj nie śpi, nie cięży kamieniem,
Lecz jako sokół unosi się w góry. „XI. I.”

Szkoła a młodzież.

Znów podwoje szkoła swoje
Przed młodzieżą otworzyła;
Znowu cała zahuczała,
Obudziła się, ożyła.

Jasne nici, co nie schwyci
Ręka, jeno myśl skrzydlata,
Młodzież całą przedzą białą
Łączą znów, jak w zeszłe lata;
Na młodzieży barkach leży
Przyszłość kraju, przyszłość własna;
Ta w swej dumie dążyć umie,
By ta przyszłość była jasna.

Praca w szkole da jej wolę,
Wyobraźnia da miraże,
Dusza młoda chęci doda
Wiedza nowe szlaki wskaże.

Czas z obliczem tajemniczem
Kręci swoje wieczne koło...

Garstka młodzi już odchodzi

I — zostanie poza szkołą:
Codzień prawie, jak żorawie
Przed odlotem hen w zaświaty,
Głośno marzy, hucznie gwarzy
Strojąc przyszłość w barwne kwiaty.

Niechżeż mocą zatrzepocą
Skrzydła jej, jako żorawi;
Już jej szkoła nie zawoła
Jeno pamięć pozostawi...

„Xl. l.”

Jesień.

Minęło lato, niby sen,
Gdzieś w dali się rozwiało...
W jesienny dzień odeszło hen,
Niby tęczy szczęścia sen,
Choć tak nas czarowało.
I poszło od nas, poszło w świat,
By nieść tam szczęścia chwile;
W jesiennych mgłach krajobraz zbladł
Smutny, choć piękny dzisiaj świat,
Lato — ot: sen i tyle!..

Jesień już złoci liście drzew,
A wiatr je w dale goni,
Zimnego wiatru ostry wiew
Otrząsa złote liście z drzew
I sypie je po błoni.
Mgły wkrag się winą pośród pól,
Kobierzec tworzą siwy,
A sercem ludzkim szarpie ból:
Szkoda tych szumnych zbożem pól,
Rosą błyszczącej niwy!..

Zywilla.

Tyś mi nie straszna, jesieni!

Tyś mi nie straszna, jesieni,
Próżno obrywasz z drzew liście!
Z wiosną się las zazieleni,
Zakwitną znowu wkrag kwiaty,
Choć zmroziś kwitnące ich kiście,
Z wiosną świat zmieni swe szaty!..

Tyś mi nie straszna, jesieni,
Próżno lży lejesz deszczowe,
Na wiosnę wszystko się zmieni!
Zakryłaś niebo chmurami,
Z wiosną znów będzie tęczowe!
Próżno mię straszysz groźbami!

Tyś mi nie straszna, jesieni!
Choć przejście twoje mnie smuci,
Zimna twa ręka nie zmieni!
Nadziei w rozpacz okrutną:
Wierzę, że z wiosną powróci
Maj kwietny, choć teraz tak smutno!

Zywilla.

Bajka o wdzięczności.

Dwaj beduini przez piaski Sahary
Raz na wielbłądach swych wiezli towary.
Starszy bogaty — miał tuzin jucznego
Zwierza, zaś młodszy miał tylko jednego
Wielbłąda, który mu w spadku pozostał
(Ojciec biedaka niedawno się rozstał
Z ziemią, stąd smutne młodzieniec miał czoło).

Piasek żółtawy przed nimi wokoło
 Z nieba sklepieniem przejrzystem się stykał;
 Horyzont z oczu podróżnych umykał,
 A oni naprzód szli; słońce pustyni
 Mękę z podróży wśród piasków tych czyni.
 — „Z pragnienia ginę, choć kroplę daj wody”
 — Prosi bogaty — „Mój bracia, mój młody
 Daj! Wody worek ja miałem przejrzystej,
 Związałem worek źle... Ratuj, daj mi z tej
 Wody, co chowasz dla swego wielbłąda,
 Daj, ratuj bracie — Bóg na nas spogląda!”
 Jęczał. Ten myślał, spieczony gryzł wargi,
 A bogacz błagał. Błaganie i skargi
 Wzruszyły duszą wrażliwą młodziana,
 Choć wielbłąd wierny już chyli kolana,
 Idąc, niepewnym krokiem się zatacza,
 On spełnia prośbę; wnet usta bogacza
 Woda orzeźwia i wraca mu siły...
 Wzrok ich ogarnął nareszcie tak miły
 Widok dla synów piaszczystej pustyni:
 Cudna oaza, karawan zbawczyni,
 Pyszną zielenią przyciąga i mami,
 Blyszcząc zdaleka strumieni wstęgami.
 Wyteża członki wielbłąd niepojoony,
 A skoro przybył w upragnione strony,
 Pada przy źródle i pokrytą trawą
 Zieloną łąkę plami pianą krwawą.
 Spoczął przy trupie młodzian towarzysza
 I służy swego. Jakaś dziwna cisza
 Duszę sierocą nagle ogarnęła...
 Milczał i nawet rzęsa mu nie drgnęła.
 Ocknął się, słysząc znajome mu kroki:
 Był to sam bogacz; przystąpił bez zwłoki,
 Dzbanuszek z wodą postawił i rzecze:
 „Zwracam com winien, kochany człowiecze!
 Żegnaj, ja jadę mój bracie ubogi,
 Bywaj, ja idę zbierać się do drogi!”

„XI. I.”

U. A. T.

(Uczniowska Agencja Telegraficzna)

U. A. T. donosi, że w tym roku szkolnym Gimn. Piłsudskiego otrzyma jeszcze jedną salę.

Istnieje nadzieja, że do roku 1970/71 budynek przejdzie całkowicie na własność szkoły. W kołach uczniowskich panuje nieopisana radość.

Nieszczęśliwy wypadek

Kolega Z. uległ nieszczęśliwemu wypadkowi przejechania autem. (Co za zaszczyt, bo w Białymstoku same taczki) Przy zemdlnym znaleziono fotografię Smosarskiej, kilkadziesiąt biletów do „Przystani”, tyleż do parku i numer „Głosu Uczn.”. Legitymacji ani śladu.

Podobno

Podobno koleżanka M-sia, postanowiła z dniem 1 września opuszczać park przed godz. 21.

Zgubiono

Zgubiła cel swego istnienia Komisja Rew. S.U. jednego z Gimnazjów.

Łaskawy znalazca.... (ej, lepiej się nie narażać.) Oset.

Kącik dla najmłodszych.

Kochani Najmłodszy Czytelnicy!

Oto minęły już wakacje! Przeszło już cudne lato, które dało nam tyle chwil przyjemnych, tyle dni, spędzonych bez troski. Wakacje minęły!

Oto znowu stoimy na progu nowego roku szkolnego, w obliczu nowej pracy.

Lecz nie myślcie, że czeka Was tylko trud, nie, nie tylko on; czeka Was także wiele chwil przyjemnych, chwil, które spędzicie na wspólnej zabawie i t. p.

Sądzę, że nawet nasz kochany „Głos” sprawi Wam niemałą przyjemność.

Wita on Was, jak każdego roku i życzy promocji na wiosnę. Nie wita Was tylko Ciocia Klocia.

Niestety nie wita ona Was, bo jej już w naszym Gronie niema! Dorosła z niej dziś osoba.

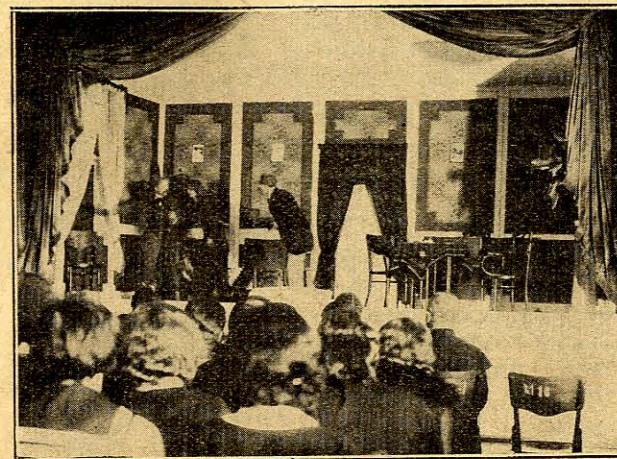
Mnie w udziale przypadło Jej miejsce w „Głosie”. Nie potrafię pisać wam tak miłych rzeczy, jak Ona, ale będę starała się wywiązać ze swego zadania jak najlepiej. Zresztą sądzę, że Wy sami mi w tym dopomożecie, pisząc do mnie liściki o tem, co lubicie, jakie są życzenia wasze. Teraz jednak postarajcie się dokończyć bajeczkę, którą umieszczam niżej. Napiszcie dokończenie, a przyrzekam Wam, że umieszczę najlepiej napisane w naszym Kąciku.

„Sen Janka”

Pewnego razu Janek malutki
Poszedł do lasu zbierać jagódki.
Zbierał jagódki, szedł pomaleńku,
Lecz wnet zmęczony usiadł na pieńku.
Koszyczek mały na mchu postawił,
A że się cały już ranek bawił
I był zmęczony, więc zdrzemnął w borze...
A kiedy nagle oczy otworzy,
Widzi, że cuda dzieją się wkoło;
Małe zajaczki tańczą wesoło,
Wiewiórka ruda siedzi w koszyku,
Ogonek myszki widzi w buciku,
Lecz Janek myszki dziś się nie boi...
A stado wilcząt na trawie broi.
— „Weźcie mnie z sobą” — Janek zawoła,
Nagle gromadka wilcząt wesoła
Porwała Janka — tańczą na trawie,
Gdy nagle z drzewa srunęły pawie.
Mówią Jankowi, że leśny Dziadek
Prosi go bardzo dziś na obiadek.
Janek wesoło za pawiem kroczy,
Patrzy na ogon — bołą go oczy.
Idą w głąb lasu, bo na polanie
Szanowny Dziadek ma swe mieszkanie.
Co było dalej?... Dziś wam nie powiem!
A może o tem od was się dowiem?...
Może już sami o tem coś wiecie,
Więc czekam, może mi napiszecie?...

„Żywilla”

Echa przedstawienia kom. Al. Fredry: „JESTEM ZABÓJCĄ” w Gimn. im. Zygm. Augusta.



Scena z „Jestem zabójcą”: Marcewicz, p. Birnbaumówna i Cichocki.

KRONIKA.

Z Gimn. żeńskiego.

Nabożeństwo żałobne. W dniu 4-IX b.r., szkoła nasza wzięła udział w uroczystościach żałobnych za duszę ś.p. S. Czerwińskiego, Ministra W.R. i O.P.

Pożegnanie. W dniu 7-IX b.r. szkołę naszą opuściła p. prof. Bartoszewiczówna, żegnana przez Radę pedagogiczną i uczenie gimn.

Spowiedź. 10-IX-b.r. uczni-ce Gimn. odbyły spowiedź i kom. św. w kaplicy szkolnej.

Z życia Koła Sportowego. Na walnym zebraniu Koła Sportowego weszły w dniu 19-IX b.r. do nowego zarządu kol.

kol.: Artymowiczówna, Zastocka i Sobocińska; jako opiekunki poszczególnych sekcji: kol. kol. Balińska, Iwanicka, Pietuchówna Z. i Pietuchówna I.

Zebranie L.O.P.P. Na walnym zebraniu Koła L.O.P.P. w dniu 23-IX-b.r. obrano nowy zarząd, w którego skład weszły nast. kol. kol.: Arytmowiczówna, Mianowska i Rogowska. W skład Kom. Rew. weszły: Giarówna, Horodeńska i Ruszkowska.

Odczyt. Z okazji obchodu 600-lecia bitwy polsko-krzyżackiej pod Płowcami dnia

28-IX-br. w sali gimn. p. prof. Szczęsna wygłosiła okolicznościowe przemówienie.

Święto Sodalicji Mar. Dnia 4-X-br. Sodalicja Marjańska naszego gimn. obchodziła uroczystie 10-lecie swego istnienia na terenie szkoły.

Zebranie Bratniej Pomocy. 5-X-br. na walnym zebraniu Bratniej pomocy ustąpił stary zarząd, powierzając swą funkcję nowemu, w którego skład weszły kol. kol.: Omeljańczykówna, Podbereska, Proppe, Krynicka, Iwanicka H. Ruskowska, Lipkówna, Zastocka, Skowrońska, Onichimowska i Pawłowska.

W skład Kom. Rew. weszły: Sieromska, Szwojnicka i Stefanowiczówna.

Z gimnazjum im. Marsz. J. Piłsudskiego

Otwarcie roku szkolnego. Dnia 1-IX-1931 r. rozpoczął się uroczystym nabożeństwem w kościele farnym rok szkolny 1931/32.

Ksiądz prefekt Zalewski w gorących słowach z zachęcił licznie zebraną młodzież wszystkich zakładów średnich do wytrwałej pracy w nowym roku.

Nabożeństwo za duszę ś. p. ministra Czerwińskiego. W dniu 4-IX br. o godzinie 11-ej Gimnazjum nasze było obecne na mszy żałobnej za duszę ś. p. ministra W. R. i O. P., S. Czerwińskiego.

Spowiedzi i komunja. W dniach 10 i 11 września uczniowie naszego Gimnazjum przystąpili do spowiedzi i komunji świętej.

Z gimnazjum im. Kr. Zygmunta Augusta

Z wakacyj. Od dn. 1 lipca do 1 sierpnia trwał obóz „Dwójki” w Gibach pod Sejnami (pow. augustowski). Uczestników było 25. Więcej piszemy o tem na innym miejscu.

Rozpoczęcie Roku szkolnego. Dn. 2-IX rozpoczął się nabożeństwem w kaplicy szkolnej i przemówieniem Ks. Dyrektora rok szkolny 1931/32.

„Wesele”. Dn. 22-IX odbyło się w teatrze „Palace” przedstawienie dla młodzieży dramatu Wyspiańskiego p.t. „Wesele”, na którym byli uczniowie klas starszych.

Rocznica i „Tydzień harcerski”. Staraniem Chorągwi Biał. obchodziły drużyny w dn. 26-IX-600 letnią rocznicę zwycięstwa pod Płowcami. W wieczornym pochodzie z defiladą przed mogiłą Nieznanego Żołnierza, jak również w ognisku w parku miejskim, brała udział „Dwójka”.

Równocześnie z rocznicą rozpoczął się na terenie m. Białegostoku pierwszy „Tydzień harcerski”. W niedzielę dn. 27 odbyła się o godz. 9 rano msza św., skąd w pochodzie udały się drużyny do parku

zwierzynieckiego, defilując przed pomnikiem „Żołnierza 42 p.p.” Tegoż dn. o godz. 13 występowała „Dwójka” ze śpiewem na akademii harcerskiej w teatrze „Palace”

Zawody. W dniach od 6-X do 17-X sekcja sportowa S.U. organizuje międzyklasowe za-

wody w siatkówce i koszykówce.

Fryzjer szkolny. Podobnie, jak w roku ubiegłym, czynny jest i obecnie od godz. 13-ej w naszej szkole fryzjer, którego fachowa obsługa zjednywa mu coraz liczniejszą klientelę.



Lamigłówka geograficzna. Ułożył: Dete.

W kwadrat wpisać poziomo sześć wyrazów tak, aby litery, postawione na miejscu cyfr, utworzyły przydomek króla polskiego.

1						
	2					
		3				
			4			
				5		
					6	
						7

ZNACZENIE WYRAZÓW:

- 1) Miasto w Polsce znane z kopalni marmuru.
- 2) Miasto u ujścia Dniestru.
- 3) Miasto znane z unji polsko-litewskiej.
- 4) Miasto rodzinne Czarnieckiego.
- 5) Miasto wojewódzkie w dawnej Polsce.
- 6) Stolica zakonu średniowiecznego.
- 7) Siedziba dawnej akademii rolniczej.

S Z A R A D A. Ułożył: Dete.

Pierwsze pośród zaimków odszukasz bez trudu,
Wspak drugie ryją w murach lata,
Całe zaś, to niewola u dzikiego ludu,
Który na podbój ruszył świata.

BILETY WIZYTOWE. *ul. K. Wallmann.*

Roman Forti

Leon Wchida

Z. Karol Cadezzi

Jaki jest zawód tych panów?

KOMUNIKATY.

Dyrekcja Państwowego Gimnazjum im. Marszałka Józefa Piłsudskiego składa niniejszem podziękowanie zespołowi Chóru Gimn. Państw. im. Anny z Sapiehów Jabłonowskiej oraz Szan. Panom Muzykom Orkiestry Salonowej, którzy udziałem swym dn. 18-X-31 w Poranku pod batutą p. prof. St. Sobierajskiego, poświęconym Chopinowi i Moniuszce, znakomicie przyczynili się do jego uświetnienia i powodzenia.

Dyrekcja.

* * *

Zarząd S. U. przy Państwowem Gimnazjum im. kr. Zygmunta Augusta podaje do wiadomości wszystkich tych, którzy złożyli podręczniki w komis do sklepiku uczniowskiego przy S. U., by do dn. 10 listopada b.r. odebrali je za zwrotem kwitu komisowego.

Podręczniki wydaje sklepik uczniowski.

Podręczniki, które pozostaną po 10 listopada, przechodzą na własność S. U.

Zarząd S. U.

Cena ogłoszeń: Cała strona 40 zł., pół strony 20 zł., ćwierć strony 10 zł.

Opiekun pisma z ramienia Rad Pedagogicznych: **Czesław Pietrasz.**

Redaktor — **Leon Wróblewski.**

Wice-Redaktorka — **H. Wolterówna.** Wice-Redaktor — **M. Piotrowski.**

Administrator: **Bronisław Dauter.**

W y d a w c a: „Bratnia Pomoc” Państw. Gimn. Żeńsk. im. Anny z Sapiehów Jabłonowskiej i „Samopomoc Uczniowska” Państwow. Gimnazjum Męskiego im. króla Zygmunta Augusta oraz „Samopomoc Uczniowska” Państw. Gimn. im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Białymstoku.